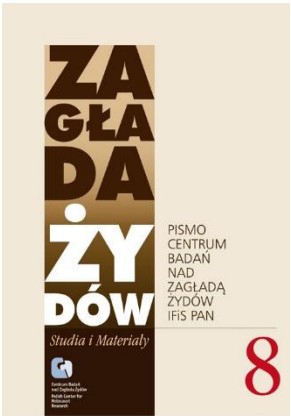

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 8 (2012)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Jan Górnicki (Ber Oszer Weisbaum), Notatki

Jan Górnicki (Ber Oszer Weisbaum), Notes

Barbara Engelking
Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk

bengelki@ifispan.edu.pl
ORCID: https://orcid.org/0000-0001-8361-4427

DOI: https://doi.org/10.32927/zzsim.689
Strony/Pages: 303-322

CC BY

OPEN ACCESS

Notatki Jana Górnickiego
(Bera Oszera Weisbauma)

Publikujemy notatki Jana Górnickiego, sporządzone w maju 1945 r., tuż po wyzwoleniu z obozu na terenie Niemiec, gdzie autor znalazł się po likwidacji warszawskiego getta i pobycie w kolejnych obozach. Traktując je jako dokument źródłowy, zachowaliśmy pisownię oryginału, dokonując jedynie uwspółcześnienia interpunkcji oraz niezbędnych uzupełnień i przypisów. Notatki poprzedzone są biografią autora, napisaną przez jego syna Jarosława.

Barbara Engelking

Mój Ojciec, Jan Górnicki, zmarł 16.12.2006 roku.

Był jedynym dzieckiem Salomona Weisbauma (urodzonego w 1901 r.) i Heleny Weisbaum, z domu Okuń, z Białegostoku. Tych danych nie ma w akcie zgonu.

Ojciec z rodzicami mieszkał w Warszawie w mieszkaniu dziadka Jana – Israela Weisbauma, który wynajmował je za 150 złotych miesięcznie. Żona Israela – Zofia, znana jako Zysia, miała z pierwszego małżeństwa syna Hermana, a z dziadkiem Israelem jeszcze troje: Franię, Salomeę i Szlamka, Szlojme lub Salomona, czyli później ojca Jana.

O matce Jana – Helenie – zachowało się niewiele informacji. Miała dwie siostry: Genię i Sonię (Sznajdlę). Genia mieszkała na Nowolipiu 53, miała z pierwszym mężem dwoje dzieci: Henryka i Izaaka, a drugie małżeństwo, z Rozenblumem, było bezdzietne.

Sonia wzięła ślub z Abrahamem Librachem i mieli dwoje dzieci: Matyldę i Leona. Wyjechali do Francji jeszcze przed wojną.

Mieszkanie dziadka Jana – Israela było 6–7-pokojowe i mieszkało tam ok. 24 osób. Jeden pokój, największy, był dla Israela i Zysi. Był przedzielony tak, że mieszkała tam ich córka Sala (Salomea) z kaleką córeczką, która wkrótce zmarła.

W drugim pokoju mieszkała druga córka Israela – Frania z mężem Złotkiewiczem i córką Felą.

W trzecim – rodzice Jana – Hela i Szlamek razem z nim.

W czwartym, piątym, szóstym i siódmym lokatorzy – łącznie 14 osób.

Ci lokatorzy to byli bardzo biedni ludzie. Niewiele zbierało się czynszu, nigdy nie było światła we wspólnym korytarzu. Mieszkanie było opłacane przez dziadka,

ale też nie zawsze, bo Jan pamiętał komorników. Przychodzili zabrać szafę, ale zostawiali, jak okazywało się, że to tylko rama, przez którą przechodzi się do następnego pokoju. A mimo to Jan pamiętał, że przychodził do niego kolega ze szkoły i mama dawała mu zawsze obiad, bo tamten w domu nigdy nie miał.

Jan jako mały chłopiec zapamiętał, że od trzeciego piętra w górę wszystkie okna były zakratowane: tak często w tych mieszkaniach zdarzały się samobójstwa. Nie ominęły też jego rodziny. Babcia Jana, matka Heleny popełniła samobójstwo jeszcze przed wojną. Jej ojciec był rosyjskim żołnierzem i gdzieś przepadł bez wieści.

W czasie wojny popełniła samobójstwo ciotka Jana – Genia, siostra matki, po stracie męża i dwóch synów.

Rodzinę utrzymywał dziadek Jana, Israel, który miał niewielki sklepik na rogu Zamenhoffa i Gęsiej. Prowadził go razem z córką Salą, były tam 4 stoliki, gdzie można było coś zjeść na miejscu, śniadanie, kawę, ciastka. To jedno z piękniejszych wspomnień Jana, jak przychodził do dziadka do sklepu, a ten częstował go jajecznicą i dawał 50 groszy dla mamy na chleb. Nie pamiętał, żeby był głód w domu, ale ta jajecznica pozostała wspomnieniem takiej sytości, ciepła dziadka sklepiku i poczucia bezpieczeństwa.

W domu z dziećmi mówiono po polsku. Rodzice mówili w jidysz, gdy nie chcieli, żeby dzieci rozumiały. Jan rozumiał, ale nie mówił, nie chciał. Wszyscy nazywali go w domu Bronek, choć w metryce miał podobno Ber Oszer.

W domu na drzwiach była mezuza z szacunku dla dziadka – Israela. Ale przed wojną to już nawet nie było na świeczki na szabat, więc nie palili. Jan nie pamięta wspólnych szabatów. Jego ojciec chodził do synagogi w Jom Kipur.

Jan pamiętał, że denerwowali go pejsaci Żydzi mieszkający na tej samej klatce. Widział, jak klepią mechanicznie na pamięć Torę i jak „śmierdzący" cebulą i czosnkiem nauczyciele biją ich linijkami po łapach, gdy mylą się w recytacjach. „To przez takich nas nie lubią. Nic dziwnego, oni rzeczywiście są okropni" – tak pamiętał swoje reakcje.

Ojciec Jana pracował dorywczo jako księgowy, zawsze były kłopoty z przetrwaniem do 1-ego. Ale w domu panował kult książki. Jan zaczytywał się w literaturze polskiej, zachwyt trylogią Sienkiewicza przekazał dzieciom, potem wnukom.

Mieszkał w getcie, choć wtedy nie było murów, ale wychodzenie poza dzielnicę żydowską nie było bezpieczne. Park Saski stanowił granicę neutralnej strefy. Gdy pewnego razu poszedł z kolegą, Zygmuntem Tenencwajgiem, do innej części miasta, jakiś harcerz podszedł do nich i uderzył Zygmunta w twarz. Jan nie wyglądał na Żyda, więc nie został pobity. Tą sytuację opowiadał wiele razy. Miał wówczas może 10–12 lat.

Pamiętał, jak z lękiem poszedł w Aleje Jerozolimskie po nagrodę, bo uzbierał jakieś punkty na promocjach gumy do żucia Donald. Miał 12 lat i bał się po poprzednich przeżyciach.

Kolejne wyjście poza dzielnicę żydowską to była defilada z okazji święta Niepodległości i miał być Piłsudski. W tłumie zaczął się robić bałagan, więc policjant zaczął okładać Żydów pałką. Jan wówczas też dostał. Przypomniało mu to pożar na

Pawiej, kiedy policja zajmowała się biciem z satysfakcją Żydów, krzycząc: „rozejść się! Rozejść!".

Jan chodził do polskiej szkoły w getcie. To znaczy, że nauczano po polsku i wolnym dniem była niedziela. Uczył się francuskiego przez rok i dzięki świetnemu nauczycielowi, który mówił do nich wyłącznie po francusku, mógł się porozumiewać w tym języku do końca życia. Wspominał dobrego nauczyciela od matematyki, choć pamięta, jak wymyślał im od śmierdzących cebulą Żydów. Mimo upokorzeń Jan bardzo chciał się uczyć i bardzo przeżywał, gdy przez rok nie mógł chodzić do szkoły z powodu braku pieniędzy. Traktował to jak osobistą porażkę, tym większą, że niezawinioną przez niego. Czytając jego wspomnienie, myślę, że pozostał mu uraz z powodu niezaradności własnego ojca. Zwłaszcza że zdarzało mu się przegrywać pieniądze w karty.

Mimo tej przerwy w szkole Jan zdążył jeszcze przed wojną zrobić tak zwaną małą maturę w szkole Spójni, chyba na Długiej 29.

Tradycją była bar-micwa, do której szykował go dziadek. Z dziadkiem były związane najlepsze wspomnienia z dzieciństwa. Zabierał go do kina, czytał mu książki, opowiadał ciekawe historie. Nauczył go nawet po hebrajsku tekstu, który mówił w trakcie uroczystości.

Ale już wtedy Jan powiedział dziadkowi, że w Boga nie wierzy.

Jednym z lokatorów w mieszkaniu był introligator, komunista Fleker. Dostawali od niego jakieś gazetki (on i koledzy ze Związku Komunistów Młodzieży Polskiej[1]). Ekscytowali się tym, bo to była literatura zakazana. Ojciec przyjaciela, Benka Tykocińskiego, załatwił ojcu Jana tuż przed wojną pracę w Sosnowcu, w sklepie z kapeluszami. To był przełom – Jan dostał nowy rower. Tykocińscy pomagali jeszcze w ten sposób, że na wakacje jeździli za granicę, a rodzina Jana opiekowała się wtedy ich domem w Falenicy. Dla Jana to były wspaniałe wakacje: dużo światła w domu, dużo książek i rower. Dzięki temu rowerowi Jan przeżył prawdziwą przygodę – spotkał na wycieczce innego rowerzystę i okazało się, że jest to Polak nie katolik i nie antysemita – ewangelik. To było prawdziwe, radosne zdziwienie.

W Falenicy zastała ich wojna. Żandarmi zarekwirowali rower dozorcy domu – Polaka. Po ich odejściu dozorca zarekwirował rower Jana...

Po powrocie do Warszawy w pierwszym okresie Jan pracował dla Niemców na tak zwanych placówkach. Kolejny okres w miarę stabilnej pracy jest opisany w publikowanym wspomnieniu.

Nie ma tam jednak epizodu spotkania z dziadkiem. Od jakiegoś czasu Jan mieszkał z matką na Nowolipiu 53 (po samobójczej śmierci jego ciotki Geni – siostry matki. Dwaj jej synowie zginęli wcześniej i po śmierci drugiego męża, Rozenbluma, nie wytrzymała i tak zwolniło się mieszkanie...). To były szczęśliwe dni: miał pokój, światło i balkon z widokiem na podwórze, gdzie rosło drzewo. W getcie był to szczyt marzeń. Ale zaraz zaczęły się przesiedlenia i wywózki i nie można było w ciągu dnia poruszać się po getcie. Jan w czasie jednego z nocnych wypadów

[1] Właśc. Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej.

przedostał się do starego mieszkania dziadka. Zastał go samego w łóżku. Z głodu nie mógł już samodzielnie się poruszać. Leżał tak od kilku dni. Pozostałych lokatorów mieszkaniu Niemcy wywieźli lub zabili. Dziadka Niemiec zostawił, bo jak stwierdził, szkoda dla niego kuli. Mój Ojciec też go zostawił – opowiadał, że to było tak oczywiste, że nie może dziadka zabrać ze sobą, że w ogóle o tym nie rozmawiali.

Wspomnienie Ojca kończy się na polepszeniu warunków, bo zaczął szmuglować żywność do getta. Ale ta „idylla" trwała krótko. Złapany 22 listopada 1942 po aryjskiej stronie na aryjskich papierach trafił na Pawiak. Kolega Jarząbek został zastrzelony w czasie próby ucieczki.

Z Pawiaka w niebieskim kalendarzyku jest też przejmujący opis pierwszego dnia pobytu.

I epizod znowu pominięty w opisie. Badanie lekarskie. Stanął goły przed lekarzem, a ten zaczął mu się przyglądać i zobaczył obrzezany napletek. Powiedział ze zdumieniem: O!, i zapisał coś w dokumentach.

Od tego momentu ojciec czekał właściwie na „rozwałkę" – jak mówił. Aż którejś nocy wywieźli go z grupą więźniów do obozu w Pustkowie koło Dębicy.

To był obóz „wykańczalnia", ale ojciec mówił, że dla niego to była ta różnica, że tam miał zapewnione 2×dziennie coś do jedzenia. Więc lepiej.

Mówił, że tylko 2–3 osoby w baraku potrafiły zostawić sobie kawałek chleba na rano, żeby potem mieć siłę do pracy przez kilkanaście godzin dziennie.

Raz nie wytrzymał, jak jego jedyny przyjaciel w obozie, Władek Gostyński, patrzył na jego kromkę chleba. Tamten przedtem oddał swój za papierosy. Podzielił się z nim, ale chyba po tym epizodzie pozostał mu wstręt do nałogów. Władek był jedyny, który wiedział, że ojciec jest Żydem (po wojnie ojciec odnalazł go i sprowadził do Polski, dał mu pracę – znowu inna opowieść). Jan w obozie musiał się ukrywać i przed Niemcami, i Polakami. Nie było łatwo przy cotygodniowych „szwanc-paradach", czyli wspólnym chodzeniu do kąpieli pod prysznicami.

Pozostała pamięć z Pawiaka. Nauczył się specjalnego chodu, żeby ukrywać obrzezanie. Ten dziwaczny chód pod prysznicami mu pozostał, jak chodziłem z nim na basen jeszcze jako dzieciak...

Tam w Pustkowie, obok, był osobny obóz dla Żydów i Cyganów. Jan rozmawiał ze starszym kolegą, oczytanym, inteligentnym z endeckiej rodziny. „ W moim domu portretów z Piłsudskim nie było" – chwalił się tamten. A w niedzielę, patrząc na obóz Żydów, Staszek Szuro powiedział, że dobrze, że przynajmniej z Żydami Hitler zrobił porządek (po wojnie ojciec zeznawał w procesie, gdzie tamten dostał wyrok śmierci. Nie wykonano go i w wolnej Polsce tamten, aktywny uczestnik walk o wolność w latach czterdziestych doczekał się rehabilitacji. Ale wtedy na procesie ojciec raczej go pogrążał. Chociaż później w latach 70., a może jeszcze później napisał do niego. Ale on nie odpowiedział).

„Daj spokój, powiedział Jan. Przecież zobacz, siedzimy tu i jak oni nie wiemy, czy przeżyjemy. Wspólny los pod Niemcami nas czeka. W czym oni gorsi?" – „Bronisz Żydów? Są tylko trzy grupy, co bronią Żydów: Esterka – czyli kochanka

Żydówka, Szabes-goj – czyli pracuje dla Żydów lub sam jesteś Żydem". Może to miał być dowcip?...

Tam też widział hrabiego Wojciecha Dzieduszyckiego. Był kapowym z racji swojej pozycji. Ale jak kazali mu bić więźnia, odmówił, mimo że wiedział, że sam będzie bity. Dostał 25 batów, po których zdarzało się, że niektórzy już nie wstawali. Jan pamiętał niektórych kapo, którzy potrafili zatłuc na śmierć.

Po 2 latach Pustkowia przenieśli ich do Sachsenhausen. Znacznie lżejszy obóz, ale Jan był już mocno wykończony pracą i tyfusem w Pustkowie. Przeżył dzięki komunistom, których poznał w obozie i jakoś mu zaufali. Dali mu pracę w kuchni. „Odkuł się" na obierkach od kartofli...

Został wyzwolony z obozu w Oranienburgu 25 kwietnia 1945 roku przez 1-y Białoruski Front Armii Czerwonej. Ważył wówczas około 40 kilo i chodził jak automat. Mówili o takich „znieczulonych" w obozie, co zaraz umrą, „muzułmanie".

Ojciec wrócił do Polski z Dywizją Przeciwlotniczą.

W maju 1945, w małym miasteczku pod Berlinem w czasie postoju armii zanotował publikowane tu wspomnienia z getta. Po powrocie do kraju zgłosił się w Krakowie do miejscowych władz z zaświadczeniem z wojska. Proponowano mu pracę w UB, ale on chciał się jeszcze uczyć; zaangażował się: już w 3 miesiące po wyzwoleniu został przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego Związku Walki Młodych w Krakowie.

W imię lepszej przyszłości dla młodych jak on, „z głodujących miast i ze spalonych wsi", a także dla dzieci, których jeszcze wtedy sam nie miał, tworzył z zapałem organizacje młodzieżowe, biegał z prelekcjami, uczył innych i siebie, jak pomagać budować, jak wierzył, dla wspólnego dobra.

Był niewierzący. A religię katolicką w Polsce postrzegał jako główną przyczynę nierówności, hołubienia analfabetyzmu wśród chłopów, bo przecież łatwiej takimi manipulować. W braku wiedzy upatrywał przyczyny nienawiści rasowej i niechęci do nowego ustroju, do reformy rolnej. Po tym, co przeżył, widział w kościele tylko hipokryzję.

W 1947 r. został przeniesiony do Warszawy, pracował w ZG ZWM, a potem ZG ZMP (Związku Młodzieży Pracy[2]), zaangażował się także w tworzenie harcerstwa. Dalej „nawracał", uczył, samemu też się dokształcając. Skończy Akademię Nauk Politycznych, Wydział Dyplomatyczno-Konsularny.

Rok 1956 przeżywał, ale raczej widział w tym koniec „błędów i wypaczeń". Uważał, że trudno, jak partia błądzi, trzeba błądzić z partią i robić swoje. Innej drogi nie widział. Nawet gdy wyjeżdżali towarzysze i znajomi, bo odwilż znaczyła również „oczyszczanie" wojska i partii z Żydów, nie brał nigdy pod uwagę możliwości wyjazdu. Żydowskie państwo w Palestynie było mu obce. W Polsce się urodził i tu był jego dom. Nikt z jego rodziny nie przeżył, ale miał już własną: żonę i dwójkę dzieci, za których czuł się odpowiedzialny.

[2] Właśc. Związek Młodzieży Polskiej.

W 1967 został przeniesiony z KW PZPR do Stołecznej Rady Narodowej, gdzie pracował do emerytury.

Antysemicka nagonka 1968 spowodowała, że Ojciec znowu poczuł się zagrożony, unikał bezpośrednich konfrontacji, podświadomie miał uczucie ściganego zwierzęcia, które musi się ukryć. Ciągle wierzył, że to chwilowe zaćmienie minie i znów będzie lepiej. Ale chyba nie było i „ze względu na stan zdrowia" w roku 1971 został wysłany na placówkę do Jugosławii.

W tamtych czasach dla pracowników struktur władzy była to raczej zsyłka niż złapanie szczęścia za nogi.

Dopiero w latach siedemdziesiątych, tam w Jugosławii uwierzył, że zbrodnia katyńska to było dzieło Stalina. Tam też zetknął się po raz pierwszy z *Archipelagiem Gułag* Sołżenicyna. Miał coraz mniej entuzjazmu i coraz więcej wątpliwości. Ale nadal nie widział innej drogi. Jak zawsze miał główny cel: Tylko w ramach parasola atomowego, jaki daje ZSRR, można tworzyć życie lepszym, bardziej sprawiedliwym, zmniejszać nierówności. On tego „parasola" potrzebował szczególnie.

Po powrocie z Jugosławii został odsnięty na boczny tor – do emerytury w 1982 roku pracował w Instytucie Podstawowych Problemów Marksizmu i Leninizmu KC PZPR. Tuż przed stanem wojennym przeczuwał, że konflikt jest nieunikniony. Pracował w strukturach komunistycznej władzy od początku i rozumiał, co może się wydarzyć. Po stanie wojennym nadal udzielał się społecznie i współpracował z organizacjami partyjnymi w zakładach pracy.

Po '89 roku wiele się wokół zmieniło. Akceptował to. Coraz więcej opowiadał o przeszłości.

Kiedy po maturze zastanawiałem się, co robić w życiu, Ojciec powiedział mi, że zawsze największą satysfakcję z pracy miał wtedy, jak mógł komuś pomóc.

Ta idea: pomagać słabszym, wyniesiona z rodzinnego domu, towarzyszyła mu przez całe życie.

Wychował nas w przekonaniu, że w życiu warto być przyzwoitym, że ważna jest uczciwość w tym, co się robi, a celem: pomoc słabszym. A udaje się to, powtarzał za Kotarbińskim, jeśli się kogoś kocha.

I przez sześćdziesiąt lat miał swoją Heluśkę, jedną z pierwszych komunistek po wojnie na Podhalu, z wyrokiem podziemia, bez której miłości, powtarzał, nie miałby niczego.

Wybrał kremację. W ten symboliczny sposób, jak podkreślał, chciał się połączyć z własną rodziną. Tak wybrał. Jego rodzinie w Treblince i Oświęcimiu tej możliwości wyboru nie dali.

Jarosław Górnicki

Jan Górnicki (Ber Oszer Weisbaum)

Notatki

22 lipca 1942 r. Od paru dni tkwi całe getto wrszawskie w nerwowym podnieceniu. Jakieś naprężenie wisi w powietrzu i każdy na coś czeka. Od paru dni dniem i nocą przeważnie kursuje po dzielnicy parę małych eleganckich, osobowych aut. Auta śmierci. Przed oznaczonymi domami zatrzymują się. Paru ładnie ubranych gestapowców, zwykle z cywilem, wysiada i już z kartką śmierci wchodzi do bramy. Ludzie zwykle ze strachem i z zaciekawieniem, które przezwycięża obojętność i otępienie, stają trochę z dala i przyglądają się. Nie trzeba czekać długo. W domu, w którym znikli, rozlega się huk wystrzału. Spokojnie, jak niby nigdy nic wracają, drzwi auta zatrzaskują się, motor zostaje zapuszczony i zatrzymują się znowu pod innym domem oznaczonym na liście śmierci. A jeżeli ktoś ciekawy i zajrzy do odwiedzanego domu, znajdzie na podwórzu lub na schodach trupa z rozwalonym czerepem, zwykle ze strasznym grymasem strachu na twarzy. Przeważnie ludzie wyprowadzani w tym czasie w getcie z mieszkania wiedzieli, po co wychodzą. Przeważnie tak ginęli nauczyciele, ludzie znani w dzielnicy mający jakieś wpływy lub ludzie, którzy je kiedyś mieli. Ludzie, którzy zatrudniali się dobroczynnością, i tacy, na których podły jakiś donos wskazywał, że zajmowali się podziemną lub polityczną robotą. W drugiej połowie lipca sporo tych aut kursowało po getcie i zbierało krwawe żniwo śmierci. Można sobie wyobrazić serce mieszkańca domu, pod którym zatrzymała się prywatna taksówka z „SD" na tarczy numerowej. Zaparty oddech i oczekiwanie w strasznym lęku i wreszcie co za ulga. Skierowali się tym razem do sąsiada. Więc dzisiaj nie. I drzwi się nie otwiera i nikt nawet nie pójdzie zobaczyć zabitego, bo i co to takiego trup. Każdy tak samo wygląda, a nie brak ich na ulicy, i tych zastrzelonych, i tych zmarłych z głodu.

22 lipca. Wyraźnie widać, że to jest przygotowanie do czegoś. I natychmiast z tą myślą zaczynają się kojarzyć plotki najróżniejsze o wywiezieniu, wysiedleniu dużej ilości Żydów, kursujące po dzielnicy. Tylko najubożsi, ci się niczego nie obawiali. Często można było spotkać się z żebrakami i ludźmi o nieokreślonym zajęciu, których zajęciem było całodzienne kręcenie się na ulicy. Szukali jakiegoś zarobku, kawałka chleba i wszystko im już jedno było, jak go zdobyć. Czy ukraść, zrabować, czy oszukać, wyżebrać lub zapracować. Ale w dzielnicy Żydowskiej w W-wie nawet dla ludzi przedsiębiorczych gotowych na wszystko, którym było wszystko jedno, też niełatwo było pożywienie zdobyć. Głodni stale, byli tak zdesperowani, że byli gotowi i rabować, i nawet mordować, czekali tylko na okazję, na kogoś odważniejszego, który zaczął. Nie patrzyli, czy ofiarą ich pada bogaty, czy też taki nędzarz jak i oni, który marny straganik usiłuje wysprzedać i którego cała egzystencja i warsztat pracy zostały zniszczone, który napadnięty, z wszystkich nawet sił broni, już

i tak nie da rady. Zgłodniała horda wychudłych obdartusów wyrywa sobie z rąk pęczek marchewek z ręcznego wózka. Przy pustym wózku zostaje właściciel i płacze.

Często tak znika ostatnia deska ratunku i nie pozostaje nic jak iść na ulicę i szukać czegoś, tak jak ci, co go przed chwilą obrabowali. I tak to go czekało, w domu już wszystko wysprzedane, a wojna się nie kończy, niemcy wygrywają.

I ten stały głód i co gorsze wśród głodnych dzieci w domu, dzieci, które już nawet nie proszą o jedzenie, bo ci trzyletni ludzie już zrozumieli, że nie ma co jeść. Żeby to można było umrzeć i nie widzieć głodnych oczu wychudzonych dzieci. Dzieci swoich, którym nie ma co dać jeść. Żeby nawet głową przebić mur. Dzieci, których marzeniem jest po wojnie kupić sobie furgon chleba i jeść, i jeść wreszcie do syta. Dziwne te dzieci wegetujących i kończących się handlarzy lub tragarzy czy robotników czy też innych nędzarzy getta. Dzieci, które się nie umią śmiać głośno ani bawić. Dzieci, które krążą cicho jak cienie i tym głodnym spojrzeniem, najstraszniejszym spojrzeniem, jakie być może, szukają czegoś do jedzenia. Jeść w obecności ich nie można. Każdy kęs jest wydzierany głodnymi, pożądliwymi oczami. Dzieci, których jedynym tematem jest tylko jedzenie, które ze szczęściem opowiadają o cudownym zdarzeniu jak zjedzenie kawałka buraka. Tak, takich dzieci sam widziałem tysiące. I niestety, zawsze myślałem, że jestem dość wrażliwy, że potrafię zrozumieć czyjeś nieszczęścia i potrafię przejąć się nimi, przekonałem się, że skamieniałem, że nic mnie to nie obchodzi. Nieraz widziałem dzieci bezdomne, na ulicy żebrzące, w łachmanach, przez które wyzierało brudne żółte ciało i wystające kości, żałosny głosik cicho jakąś piosenkę zawodził, drugie płakało. I one brudne, zababrane, na odległość śmierdzące, po których widać było, jak chodzą olbrzymie wszy, te dzieci miały dziwne twarzyczki. Twarze ludzi dorosłych. Widać było w nich tak mocne piętno przejść, że jasne było, że one już się nigdy uśmiechnąć nie potrafią. I rzeczywiście, tych dzieci śmiejących się nigdy nie widziałem. Starałem się nieraz na próżno, widzę rano nieuprzątnięte trupki, które na betonie skończyły swoje życie, nie zaznawszy nigdy niczego dobrego, wzbudzić w sobie chociażby iskierkę, żebym mógł pożałować. Ale stałem się dziwnym człowiekiem. Moje zmysły i dusza, które człowiek posiada w swojej jaźni, były okryte grubą powłoką. Mnie już też tylko jedno interesowało, jak zarobić na kawałek chleba dla mnie i dla matki. Była kasta najniżej stojąca na stopniu nędzy. To byli żebracy, którzy wzdłuż prawie każdej ulicy po obu stronach co parę kroków leżeli. Najróżnorodniejsze grupy, całe rodziny w łachmanach, dzieci same, stare kobiety, starcy, młode kościotrupy, kaleki wszelkiego rodzaju. Wszyscy mieli parę wspólnych cech. Wszyscy byli w najpotworniejszych łachmanach lub szmatach i wszyscy byli głodni i podobni byli do siebie. Maski nie twarze, wychudłe, zapadnięte oczodoły, żółtawa lub ziemista cera przyszłego trupa. Maski o tępym spojrzeniu i jednakowym grymasie. Niektórzy głośno prosili o litość, inni znowu milczeli cały dzień w przeciwieństwie do tych. Wielu miało przed sobą fotografie z lepszych czasów. Można było zobaczyć przyzwoicie ubranego człowieka czy też szczęśliwe familijne zdjęcie, gdzie cała rodzina zadowolona i uśmiechnięta pozuje. A potem porównanie, obrzydzenie i niewiara. Przecież nie wolno nawet tego potwora, resztkę czegoś, co kiedyś było

człowiekiem, a teraz ma pretensję do życia, porównywać do tego normalnego człowieka. I budziło uczucie, które życzyło mu jak najrychlejszej śmierci, która zawsze będzie lepsza od tego straszliwego i kurczowego chwytania się za resztki tego, co się jeszcze życiem nazywa. To była jeszcze jedyna litość, na jaką potrafiłem się zdobyć. A jakże często przelatywały przez głowę refleksje, że następnym etapem po sprzedaniu wszystkiego w domu prawdopodobnie będzie etap pod murem. Są wśród tych żebraków starzy znajomi, którzy w tych samych łachmanach przetrwali zimę z 41 na 42 r. Z przeświecającym ciałem, najczęściej boso w mrozy po śniegu, wolno krok za krokiem chodzili po ulicach, żebrząc, wyśpiewując rytmicznie zawodzącą melodią prośbę o chleb. Teraz oni też dogorywają, między olbrzymie zwiększoną coraz liczniejszą rzeszą żebraków. Niejeden z nich pada. Normalny widok na ulicy jest człowieka obdartego, o tym powszechnym otępiałym grymasie twarzy kościotrupa, który idzie wolno, wlokąc nogę za nogą. W pewnej chwili wywraca się, chwilkę zwija się i wyciąga się, i człowieka nie ma. Ulice w dzielnicy były przepełnione stale. Iść ulicą, znaczyło iść za poprzednikiem, wymijać było trudno. I ci ludzie mijali trupa leżącego na środku chodnika tak obojętnie, jak gdyby był to kawałek szmaty. Na tysiące ludzi, którzy przechodzili obok niego i deptali po nim, bardzo trudno znalazł się litościwy przechodzień, któryby chciał trupa na bok odciągnąć. I jeżeli taki się znalazł, to też musiał długo czekać i prosić innych, żeby mu pomogli trupa usunąć. Wreszcie, któryś niechętnie się zatrzymał. Trupa mocno i z niecierpliwością rzuca się pod ścianę i czasem, ale to już przecież całkiem zbędne, zakrywa mu się głowę papierem i cegłą papier przytłacza.

Jasne jest, że ludzie zobojętnieli, bo tylko z początku codziennością nie był trup na chodniku. Ostatnio przed wysiedleniem ulice pełne były trupów zakrytych i niezakrytych, leżących pod ścianami pomiędzy żwymi trupami, którzy swą przyszłość i najlepszy a ostatni etap męki widzieli obok siebie.

Widać było młodych przeważnie chłopców, ale jak trudno rozpoznać było, że to młodzi. Obdarci, twarz zamieniona przeważnie na pokiereszowaną maskę z rozciętymi policzkami, czołem, brudni z zaschniętymi strupami krwi. To byli tak zwani „haperzy". Kto był w getcie warszawskim, ten wie, co to znaczy. Pochodzi od żydowskiego słowa „łapać, wyrywać". Kręcili się zwykle na chodniku przy murze, obserwując uważnie przechodniów. Pełno ich było przed sklepami spożywczymi, cukierniami, barami. Spostrzegłszy kogoś z paczką wychodzącego ze sklepu czy idącego ulicą, nie opuszczał ofiary. Długo krążył, aż znalazł dogodny moment. Resztą sił wykonany skok, a potem z wyrwaną paczką usiłuje uciec żywy kościotrup. Ale on wie doskonale, że to mu się nie uda. Biegnąc, stara się jak najwięcej zjeść z tego, co ma. Niedołężnie trzęsące się ręce wpychają do ust, ile tylko wejdzie. Po paru krokach jest dogoniony i schwytany. Pięć, sześć osób usiłuje mu wyrwać z chudych, brudnych palców zdobycz. Każdy go też i okłada, w końcu leżącego na ziemi kopią. To, czego nie zjadł, już też jest rozkruszone, zmieszane z błotem, leży pod haperem, a on łkający, jeszcze pobity, tak że się już prawie ruszać nie może, zjada resztki swego łupu. To już chyba jego przedostatnia zdobycz. Przy następnej jak go tak znowu zbiją, już chyba nie wstanie. Powoli, chwiejąc się, usiłuje się

podnieść, po paru próbach udaje mu się z trudnością stanąć na kolanach. Ludzie go mijają jak potok obojętnie. Przygodni przechodnie, którzy się wtrącili i go bili, już poszli. Tylko niedaleko stoi kobieta albo dziecko i też płacze, bo chleb, który jej wyrwali, był kupiony za pieniądze z ostatniej powłoczki sprzedanej lub z zarobku tygodniowego ojca lub brata na placówce u niemców, który wystarczy na dwa chleby. Haper podnosi się, znowu się przewraca, w końcu udaje mu się to. Obok niego przykląkł znowu jakiś mało różniący się od niego wyglądem, chyba nie tak pokrwawiony. Ten jest mniej odważny. On tylko zbiera z ziemi okruszyny zdeptane, stratowane przy szarpaniu się o chleb. Zbiera skrzętnie każdą jedną. Wszystko wysprzątnął. Ogląda się jeszcze raz, znowu podnosi z błota jakąś okruszynę. Potem wolno z trudem wstaje i odchodzi. Znika w tłumie, tak jak haper znikł, jak znikła dziewczynka. Potem już nic nikt nie pamięta, nikt nic nie wspomina z przechodniów. Tragedia jedna z wielu na scenie, której sceną jest ulica, została rozegrana. Jedna z wielu, które widać na każdym kroku, aż do zupełnego zobojętnienia. Wspaniałe pole do popisu jako temat dla literata. Niezliczona moc wrażeń, spostrzeżeń i wspaniałe studium dla szukającego duszy człowieka. Nawet i to nie wywiera wrażenia, gdy czasami można w tej reszcie człowieka rozpoznać dawnego kolegę. To nie jest obcy, którego się przedtem nie znało i nie widać różnicy. To jest człowiek, którego widziałem, jak się śmiał, rozmawiał i potrafił swoje uczucia jakoś wyrażać. To jest człowiek, który miał rodzinę, kochał, był kochany. Myślał, uczył się. A teraz jest zamieniony na żywego trupa z jedną jedyną myślą skierowaną do zaspokojenia żołądka, czyli utrzymania nędznej iskierki życia.

Żebracy w sklepach żywnościowych kupowali sobie 3 dkg chleba za 50 gr. W dzień i w nocy stale po ulicach wiele się kręciło ładnych młodych dziewcząt.

Te za wszelką cenę chciały się ratować. Widmo grożącej nędzy chciały odepchnąć od siebie i szły na ulice. Często widać było takie, które niby wyzywająco miały stać, a widać było wzrok młodej przystojnej dziewczyny wbity w ziemię i całą postać tylko zawstydzenie przedstawiającą. I wśród nich spotkałem koleżanki ze szkoły, z którymi się często na jednej ławce siedziało. Nieraz było to dziewczynki tak wychowane, że na grubszy dowcip się rumieniły. One teraz chciały żyć, a nie konać z głodu w domu lub pod murem. Ale i to ich nie ratowało. Doskonałą okazję miałem do obserwowania ulicy. Miałem rykszę. Ryksza była najpowszechniejszym środkiem lokomocyjnym i transportu getta. Był to wózek transportowy, jakie były przed wojną. Tylko zamiast skrzynki z przodu była ławeczka wyścielana i tak się woziło ludzi. Środkiem napędowym był człowiek, który kręcił za plecami pasażera pedałami. Ryksza była na początku jednym z najlepszych interesów getta. Dawała w pierwszych czasach, gdy jeszcze była rzadkością na mieście, zarobek wystarczający na życie dla 2–3 osób. Tylko była bardzo droga i nie każdy mógł sobie pozwolić na taki warsztat pracy. Sprzedałem z domu prawie resztę rzeczy i schwytałem się tej ostatniej deski ratunku. Przedtem robiłem na placówce niemieckiej. 3,20 dziennie cena ćwiartki razowego chleba. O 5 rano do roboty i wieczorem powrót. W ciągu rocznej pracy na placówce spadło ze mnie kilkanaście kg żywej wagi.

Osłabłem, na złym odżywianiu wychudłem tak, że mnie znajomi, którzy nie widzieli dłuższy czas, nie poznawali. Nogi zaczęły mi puchnąć, a zaczyna się zawsze od nóg. Przypomnienie obrazu potwornie opuchłych z głodu kadłubów ludzkich żebrzących wraz z dogorywającymi kościotrupami przesunęły mi się w myśli. I wynikiem długich decyzji, nieraz nieprzespanych nocy było postanowienie stawienia wszystkiego na jedną kartę. Kupiłem z kolegą rikszę do spółki. Ja jechałem pół dnia i on pół dnia. Z początku nastał okres względnego dobrobytu. Żeby związać koniec z końcem i mieć do syta tylko czarny chleb, nie potrzebowałem już dosprzedawać z domu. Ale później znowu wszystko się pogorszyło. Takich jak ja było tysiące i oni zrobili mniej więcej to samo. Co dzień było na rynku więcej riksz, a mniej pasażerów, kursy potaniały i nieraz godzinami stało się już na postoju. Wtedy już zarabiałem na pół utrzymania, ale też jeszcze byłem wspaniale sytuowany, bo większość w dzielnicy żyła prawie powietrzem, a ja przynajmniej miałem jakąś podstawę bytu. I podczas tych godzin bez pasażerów obserwowałem życie w getcie. I rozgrywały się w moich oczach takie tragedie, jakich na pewno nikt na świecie nie opisywał. Zapamiętałem komiczny fakt, ale pamiętam doskonale, że obserwując go, nikt nie śmiał się, nikt nawet ochoty nie miał się śmiać i gdyby ludzie nie byli tak znieczuleni, niejeden by może zapłakał. Na wózku ręcznym wiózł ktoś marmoladę. Tramwaj zaczepił o wózek, wiadro spadło i się rozbiło. Był pochmurny marcowy dzień. Mokry śnieg padał, zamieniając się natychmiast w błoto w zetknięciu się z ziemią. Rozdeptywały to błoto nogi przechodniów i pojazdy na jezdni. I natychmiast nie wiadomo skąd ze wszystkich stron zaczęła się zbiegać zgraja oberwańców z łyżkami i kociołkami. Marmolada została momentalnie zmieszana w błoto nogami szarpiących się. Niektórzy już leżeli na ziemi, jedząc z łyżek lub z rąk, inni skrzętniejsi ładowali do garnuszków. Była to walka w milczeniu. Jeden drugiego odpychał, szarpał się, a jednocześnie twarze nie traciły swojego tragicznego wyrazu. Po twarzy nie można było poznać tego, co się działo w nich. Zamarła maska nie wyrażała żadnego wzburzenia, przejęcia się walką. Zwykły wyraz twarzy o zapadniętych oczodołach i dolna warga zwisająca w nieokreślonym grymasie.

Marmolada z błotem już wysprzątnięta. Podnoszą się powoli z ziemi, jeszcze oblizują swoje palce, jeszcze niektórzy z ziemi zbierają. Każdy się dokładnie czyści łyżką albo palcem i oblizuje. A potem jeden drugiemu z pleców łyżką marmoladę czy też błoto zdejmuje i się głaszcze, oblizuje. Do tego faktu komentarze są zbędne.

Miałem na rikszy również kontakt z bogaczami getta. Byli to przeważnie ludzie prowadzący jakieś nieczyste interesy z niemcami. Gestapowcy lub szmuklerzy – dostawcy towarów na drugą stronę i odbiorcy. Dla nich była wojna, oni wiedzieli, jak żyć. Od baru do baru płacąc olbrzymie rachunki, z rikszy na rikszę. Wspaniale ubrani, szastający pieniędzmi, pozowali przed tłumem szerokim gestem. To byli nasi najlepsi goście. Czasami zdarzało się, że zapłata za kurs przewyższała mój przeciętny dwudniowy zarobek. Trzeba było mieć szczęście złapać takiego gościa. Nimi były zapełnione bary, restauracje i cukiernie. Na nędzę byli również obojętni, ale często widać było, jak dla gestu rzucali biednym i grube banknoty. I dlatego najlepiej prosperowały w getcie bary, cukiernie i zakłady pogrzebowe przy tak wielkiej

śmiertelności. Jak grzyby po deszczu wyrastały z zamierających galanteryjnych, przemysłowych sklepów, w których nic nie było – cukiernie, bary lub powstawały oddziały domów pogrzebowych.

W ostatnich czasach miałem wiele kłopotów z rikszą. Psuła się, bo już była uszkodzona przez samochód z Pawiaka. Samochody SS specjalnie wjeżdżały na riksze, niszcząc je i kalecząc pasażerów. Mnie to też spotkało.

I właśnie ci nędzarze z getta nie bali się ani taksówek śmierci, ani wysiedlenia, ani niemców, już nikogo. „Co nam mogą zrobić, gorzej już nam nie będzie. Odebrać nam już nic nie odbiorą, bo już nic nie mamy".

22 lipca, po uprzednim wprowadzeniu ludności dzielnicy w stan przerażenia ciągłą strzelaniną i mordami, wywieszono plakaty o treści: Od dnia dzisiejszego odbywa się wysiedlenie Żydów z Warszawy. Kierunek na wschód. Tam zostaną umieszczeni w mieszkalnych barakach i będą pracować w dobrych warunkach. Wolno ze sobą zabrać 15 kg bagażu. Wysiedleniu nie podlegają zatrudnieni w warsztatach pracujących dla wojska i ich bezpośrednie rodziny, tzn. żona i dzieci. Podpisano Fiszer i inni[3].

Podniecenie opadło. Każdy wiedział, o co chodzi. I tego, co się zaczęło od tego dnia, nigdy nie potrafię chronologicznie spisać. Był to straszny koszmar. Straszliwe

[3] Rozporządzenie o wysiedleniu ukazało się na murach warszawskiego getta 22 VII 1942 r. i było podpisane przez Radę Żydowską. Zostało podyktowane Judenratowi przez Niemców i brzmiało: „Radzie Żydowskiej oświadczono, co następuje:

1. Wszyscy Żydzi zamieszkali w Warszawie, bez względu na wiek i płeć będą przesiedleni na Wschód.

2. Wyłączani od przesiedlenia są:

a) wszyscy zatrudnieni u Władz lub w przedsiębiorstwach niemieckich, którzy mogą przedstawić odpowiedni na to dowód;

b) wszyscy Żydzi, którzy są członkami i pracownikami Rady Żydowskiej według stanu z dnia opublikowania niniejszego zarządzenia;

c) wszyscy Żydzi zatrudnieni w firmach przynależnych do Rzeszy Niemieckiej, mogący przedstawić na to odpowiedni dowód;

d) wszyscy zdolni do pracy Żydzi, którzy dotychczas nie zostali włączeni do procesu zatrudnienia; tych należy skoszarować w dzielnicy żydowskiej;

e) wszyscy Żydzi należący do Żydowskiej Służby Porządkowej;

f) wszyscy Żydzi należący do personelu żydowskich szpitali, zarówno jak i należący do żydowskich kolumn dezynfekcyjnych;

g) wszyscy Żydzi będący najbliższymi członkami rodzin osób wymienionych od a do f). Członkami rodzin są wyłącznie żony i dzieci;

h) wszyscy Żydzi, którzy w pierwszym dniu przesiedlenia znajdują się w jednym z żydowskich szpitali i nie kwalifikują się do zwolnienia. Niemożność zwolnienia musi być potwierdzona przez lekarza, którego wyznaczy Rada Żydowska.

3. Każdy przesiedleniec Żyd ma prawo zabrać ze swojej własności 15 kg jako bagaż podróżny. Bagaż o wadze powyżej 15 kg będzie skonfiskowany. Wszystkie przedmioty wartościowe, jak pieniądze, biżuteria, złoto itd., mogą być zabrane. Należy zabrać żywność na trzy dni.

4. Początek przesiedlenia dnia 22.7.42 o godz. 11".

trzy miesiące, które tylko i te fragmenty, te sceny odzywające się, tak głęboko mi się w pamięć wryły, że nigdy tego z niej nie wykreślę.

Przede wszystkim się zaczął owczy pęd do wszystkich warsztatów tak zw. szop. Każdy starał się o zaświadczenie, że jest zatrudniony w zakładach czynnych dla wojska. Policja żydowska zaczęła brać na wozy i konne omnibusy żebraków z ulic i obdartusów. Wcale się nie bronili ani nie uciekali. Często krążyły po mieście wozy ciasno załadowane. Najgorszych nędzarzy odstawiano na cmentarz, tam zastrzeliwano i nawet nie chowano. Kontygent wynosił 6 tys. ludzi dziennie. Potem zaczęły akcję przeprowadzać oddziały SS, ukraińcy i łotysze. Razem z policją żydowską uprzątali getto od żebraków. Od tego czasu zaczęły się trudności z dostawą ludzi – wszyscy prawie mieli jakieś poświadczenia dla siebie i rodziny. Bogaci za grube pieniądze wyrobilli sobie zaświadczenia i już byli pewni siebie. Ci, którzy nie mieli maszyn do szycia, żeby oddać do szopu i za to otrzymać *beochciniung* [Bescheinigung] lub nie wzięli pieniędzy, żeby kupić, także ci są dobrze schowali. Na ulicy byli ludzie, którzy byli w porządku i nie obawiali się wysiedlenia. I właśnie ci ludzie, którzy sobie pokupywali pierwsi dokumenty, ci najbogatsi pierwsi padali ofiarą. Zaczęto brać z ulicy każdego bez względu na papiery i bardzo rzadko zostawiano i wracano. Kto wpadł, ten przeważnie nie wracał. I dopiero po kilku tygodniach zaczęto z początku na ucho, a potem już normalnie mówić, że ludzie, którzy pojechali, pojechali na śmierć. Bo przecież pojechali ludzie, którzy mieli ze sobą majątki, i mijały tygodnie, a nie było od nich wieści. Z początku, gdy słyszałem, że ktoś mówi o tym, że jest to wysiedlenie na śmierć, zwyzywałem go i taki był ogólny nastrój. Nikt przecież nawet nie chciał myśli dopuścić, żeby niemcy odważyli się na taki czyn. Przecież to historyczna odpowiedzialność, wytracić naród. To na pewno wywózka do pracy, ale po pewnym czasie smutna pewność zaczęła wszystkich ogarniać, że jesteśmy skazani na śmierć.

Ulice były puste. Ustał ruch i handel. Nie było ceny na żywność i nie było żywności. Czasem ukazał się ktoś, kto jeszcze myślał o handlu. Za bochenek chleba, nie wiadomo gdzie zdobyty, płacono każdą cenę. Ludzie wyrywali sobie z rąk. Wówczas wyszło drugie ogłoszenie, kto ochotniczo zgłosi się, otrzymuje na drogę 2 kg chleba i kg marmolady[4]. Wspaniały trik. Ludzie, żeby raz z tym skończyć i raz wreszcie najeść się, szli gromadnie na ochotnika.

Przez pierwsze dwa miesiące jechałem na rikszy. Dokładnie nie pamiętam, co następowało po czym. Pamiętam niezliczone wędrówki z pakunkami po mieście. Gdzieśmy się wprowadzali, trzeba było uciekać. Był termin, żeby opuścić np. dzielnicę. Po godz. oznaczonej przychodziła blokada, tzn. wojsko sprawdzało, czy ktoś nie pozostał. Znalezieni zostali zastrzeleni na miejscu. Prócz tego co dzień wojsko

[4] 29 VII 1942 r. w getcie rozlepiono plakaty podpisane przez „Kierownika Służby Porządkowej", o następującej treści: „Podaję do wiadomości mieszkańcom podlegającym wysiedleniu w myśl zarządzenia władz, że każda osoba, która w dniach 29, 30 i 31 lipca rb. stawi się dobrowolnie celem wysiedlenia, zostanie zaopatrzona w żywność, tj. 3 kg chleba i 1 kg marmolady. Punkt zborny i miejsce wydania żywności – plac Stawki róg Dzikiej".

blokowało wraz z Ż.S.P. domy z ludźmi. Rozkaz zejścia na podwórko. Na dole selekcja. Papiery nieważne. Starcy, kobiety, dzieci na bok. Reszta zostaje. Nie ma rodziny ojca, matki, siostry, brata, dziecka. Straszliwe płacze, krzyki. Dobrowolne ucieczki z grupy zwolnionych na śmierć. Jasne, że młoda matka nie zostawi swego synka. Z początku to mnie jeszcze wzruszało, ale i do tego prędko się przyzwyczaiłem. Sam widziałem, jak opróżnione mieszkania wojsko sprawdzało.

Drzwi pozabijane kolbami. Wszystko połamane, poniszczone. Na podwórzu słychać było strzały z mieszkań. Tak ginęli ci, co mieli się odwagę schować. Sam widziałem, jak okna na piętrze otwierają się i szamocząc się, zostaje wypchnięta kobieta lub dziecko. Słychać jęki rozbitego kadłuba na betonie i to nie wywiera wrażenia. Chyba już człowiek wcale nie ma serca. Matkę moją jakimś cudem ochroniłem. Woziłem ją z ulicy na ulicę, gdzie przeczuwałem, że nie ma blokad. W końcu przez znajomego, brata kierownika wielkiego szopu, dostałem się do warsztatu z matką. A to było w ostatnim miesiącu wysiedlenia. Pierwsze miesiące przejechałem na rikszy i z niej widziałem odbywające się wysiedlenia. Policjanci żyd. i my rikszarze byliśmy prawie do końca nietykalni.

Miałem możność obserwowania wszystkiego. Ulice getta były miejscem polowań, a ludzie zwierzyną. Widziałem na ulicach ludzi pomordowanych. I to żadnego wrażenia nie wywierało. Potem już nie było celu wyjeżdżać na miasto. Kryłem się z matką w szopie. Nie chciałem jej już opuszczać. Najgorszy był ten strach, czy przy powrocie zastanę matkę jeszcze w domu. Potem powiedziałem sobie, co będzie to będzie, zostawiłem w jakimś domu rikszę i od tego czasu trzymałem się przy matce. Matka podczas wojny była chora na wątrobę i nerki. Podczas wysiedlenia szczególnie dało jej się to we znaki. Straszne bóle wstrząsały nią przy ataku. Zagryzała zęby i rwała pościel, ale prawie nie wydawała jęku, żeby mnie nie martwić. Ja zaś podwójnie cierpiałem, raz że nie mogłem jej nic pomóc, dwa że ją kochałem ponad wszystko na świecie. Byłem jedynakiem. Przez całą wojnę pracowałem i opiekowałem się matką, jak mogłem. A miałem od niej takie wielkie dowody miłości i troskliwości, że to było dla mnie jedynym promieniem słońca, który świecił mi przez całe lata mąk, cierpień i trosk. Byłem tak traktowany w domu przez matkę i taką atmosferą otaczany, gdy wracałem zawsze do domu, że zapominałem natychmiast o niepowodzeniach i codziennych mękach. Zawołałem doktora znajomego. Dał zastrzyk na chwilowe uśmierzenie bólów i powiedział, że potrzebne dobre odżywianie, masło, jaja, mięso, biały chleb i przede wszystkim spokój, oddalenie trosk. Pardon. W nieprzespane noce myślałem, co zrobić. Ciągle myślałem o wspólnym samobójstwie lub o dobrowolnym zgłoszeniu się na przesiedleńczy punkt „umszlakplac". Sprzedałem ostatni nowy garnitur, chowany na najgorsze czasy lub na lepsze za 200 zł. Przychodzili nieliczni aryjczycy do getta przeprowadzać roboty magistrackie i to był jedyny rynek zbytu. Zarzucano ich towarem. Najdroższe rzeczy zamieniano na kawałek chleba. Człowiek już wiedział, co go czeka, i niczego nie żałował. Kupiłem z tych 200 zł bochenek chleba za 120 zł. Cośmy prócz tego jedli przez całe tygodnie, nie pamiętam. Pamiętam, że już prawie nie mogłem chodzić z głodu ani się podnieść. Nogi za sobą włóczyłem. O matce

nie mówię. Serce mi pękało z bólu, jak patrzyłem na tą dla mnie najukochańszą kobietę, kiedyś korpulentną, dużą, dziś prawie kościotrupa. Miała 40 lat i była już zupełnie siwa, prawie biała. A przed wojną miała piękne krucze włosy.

W ostatnim miesiącu Żydzi już tylko mogli mieszkać w trzech szopach i na ulicach do nich przyległych. Więc Prosta, przy gmachu Zgromadz[enia] Kupc[ów] szop Tebensa. Nowolipie 42 z ulicą od Karmelickiej aż do Smoczej. Warsztat Szulca, Świętojerska od Bonifraterskiej do Wałowej ze szopem szczotkarzy pod no 32. Gmina Żydowska na ulicy Zamenhofa od Pawiej do Gęsiej. Domy wolne były systematycznie sprawdzane i resztki schowanych ludzi wywlekano i półżywych z głodu zabijano lub wywożono. Kontyng[ent] ciągle wynosił 6000, a o ludzi było wciąż trudniej – więc blokady, akcje były coraz surowsze i ostrzejsze. Na ulicach i w domach rozbestwione żołdactwo podczas wysiedlenia zamordowało około 150 tys. ludzi[5]. Pijani, mordowali, gwałcili, rabowali, mając wolną rękę. Wszystko, co żyło, uciekło do szop i wówczas zaczęto blokady szop. Ja byłem u szczotkarzy. Pierwszą blokadę zrobiono w ten sposób, że tym, co byli zapisani, dano numerki blaszane. Potem policja żydowska łowiła tych bez blaszek, którzy tu się schronili, spali na podwórzach lub u krewnych. Potem wszystkich zebrano, było pewno około 2000. Ustawiono w szeregach na dużym placu i sprawdzano blaszki na piersi[6]. Eleganty oficerowie pejczami kierowali tą akcją i bili wyłapanych w tłumie. Bez blaszek. 2 tys. ludzi poszło na „umszlakplac". 5 godzin staliśmy na skwerze w strachu, ze świadomością zbliżającej się decydującej chwili. Bo wyciągali również ludzi starszych, zniszczonych, chudych. Minęło. Reakcją u mamy był znowu atak wątrobiany. Przeżywam znowu straszne chwile. Nawet nie chcę oczami wyobraźni spojrzeć w przyszłość, gdy matka któregoś ataku nie wytrzyma. Nie dopuszczałem do siebie tej myśli, bo czułem, że byłem bliski szaleństwa. Odczuwałem ból serca, które się ściskało. Potem liczba mających się pozostać u nas w szopie spadła na 8 tys. Parę dni z lękiem oczekiwana blokada zaczęła się. Na podwórze Świętojerskiej wmaszerował oddział wojsk SS. Zaczęto nas zganiać pejczami i kopniakami na podwórze. I wtedy po raz pierwszy łzy pokazały mi sie w oczach. Matka nie zdążyła się uchylić i dostała na odlew pejczą w twarz.

Momentalnie ukazała się krwawa pręga i spuchły wargi, wymęczonej, chorej, a tak dla mnie drogiej twarzy. Tego, póki będę żył, nie zapomnę. Łykane z bólu łzy i pręga na twarzy przez policzki tak mnie zabolała, tak dopiekła, jak może nic w życiu. Byłem później nieraz katowany i męczony, ale to była zabawa w porównaniu

[5] W czasie akcji wysiedleńczej z getta warszawskiego do Treblinki Niemcy wywieźli ponad 300 tys. osób – w tym 10 300 zmarło lub zostało zabitych na terenie getta, 11 580 deportowano do Dulagu, a około 8 tys. osób uciekło na aryjską stronę.

[6] Była to tak zwana akcja „kotła". Przedsiębiorstwom w getcie wyznaczono limity zatrudnienia, pracujący mają dostać kartki (lub blaszane numerki) pozwalające na pozostanie w getcie. Wszyscy musieli zgromadzić się w okolicach ulic Smoczej, Gęsiej, Zamenhofa, Szczęśliwej i Miłej (stąd często używana nazwa akcji – „kocioł na Miłej"). W ciągu kilku dni odbyla się tam wielka selekcja mieszkańców getta, w której wyniku wywieziono do Treblinki około 50 tys. Żydów.

z tym, co wtedy czułem. A tłum nas już porwał. Zbiegliśmy ze schodów na dole [przez] pejcze i tam zostaliśmy włączeni do olbrzymiego ogona śmierci. Drżący, w ogonku mocno się z matką trzymałem i wolno śliśmy naprzód. Z daleka przy bramie widzimy kilkanaście mundurów i pejcze tnące powietrze. Przed nami stoją gestapowcy, ładnie ubrani nasi sędziowie. Stoją w szpalerze i przepuszczają biegiem każdego pojedynczo, pejczami poganiają. Słychać i krótkie, gardłowe szczekanie, gdy zatrzymują przebiegających i dołączają do partii stojącej na ulicy. Pamiętam, jak w koszmarze, biegiem przebiegłem, ciągnąc matkę za rękę. Rozglądam się, jesteśmy w grupie przeważnie młodych ludzi. Na bok odciągają starszych i dzieci. Jesteśmy uratowani. Przechodzimy obydwoje lekki szok nerwowy. Nie mówimy do siebie nic, tylko ściskamy się za ręce i jakieś nerwowe dreszcze trzęsą nami. Obok nas ludzie to samo odczuwają lub płaczą cicho za najbliższymi, którzy już poszli na śmierć. Wszystko skończone. Nadchodzi wojsko, które sprawdzało mieszkania prywatne i wszystko odmaszerowuje, wiodąc więcej niż połowę zabranych ludzi. Wątpię, czy znajdzie się takie pióro, które potrafiłoby oddać dokładnie to, co się później działo. Straszliwe krzyki i płacze, zawodzenia po najbliższych. Niestety nic już nie można było zrobić. Dla uspokojenia ludzi puszczono naiwną kaczkę, że ktoś pojechał interweniować w sprawie tych ludzi. Po paru godz. ludzie zaczęli się uspokajać. Przez długie godziny jeszcze słyszeć można było płacze poprzez szeroko otwarte okna podczas ciepłej nocy. Powoli ludzie zaczęli się uspokajać. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Zaczęło się trochę spokojniejsze życie, ale nie na długo. Dowiedzieliśmy się, że w innych szopach zrobiono to samo. Życie było bardzo ciężkie. Zaczęła się jakaś aprowizacja i tym żeśmy żyli. Sprzedać nie było gdzie i co. Jadło się parę razy na tydzień. W takim stanie wykradłem się poza obręb szopu, który był strzeżony. Wydostałem się na puste ulice i zacząłem chodzić po pustych domach i szabrować, szukać żywności. Na ulicach gęsto kręciły się patrole, parę razy strzelali do mnie, za każdym razem udało mi się uciec i schować. Parę domów przeszedłem. Miałem prawdziwego stracha, jak w jednym z opróżnionych i wymarłych mieszkań o mało co się nie spotkałem z plądrującymi ukraińcami. Gdzie indziej z niemcami. Z jednej takiej rajzy przyniosłem paczkę miodu i parę spleśniałych skórek chleba. Za drugim razem ubranie i jakieś puszki. Palto i ubranie w nocy przewiozłem na Miłą ulicę, tam było trochę chłopców, którzy przechodzili na drugą stronę do roboty. Dostałem za to 150 zł. Wtedy 2 bochenki chleba. Wracałem do domu z jeszcze jednym. Od bramy do bramy przskakiwaliśmy biegiem, nadsłuchując, czy kto nie idzie lub nie jedzie. Nagle usłyszeliśmy motor. Do najbliższej bramy było 20 m. Zanim zdążyliśmy się skryć, seria z automatu powaliła towarzysza. Tylko obejrzałem się i później dalej poszedłem. Później matka już nie dała mi wychodzić. Kto wychodził do miasta, przeważnie nie wracał. Matka nie mogła znieść wyczekiwania na mnie. Ja też postanowiłem się od matki nie odłączać. Jak zginąć, to razem. Nie będę matki samej zostawiał. Samotna nie zginie. Do ostatniej chwili będziemy razem. Niestety tak tylko chciałem. Pewnej nocy, ciemno, obudziłem się. W mieszkaniu mieszkało 31 osób. Ruch, ludzie zatrwożeni, biegną tam i z powrotem. I pakują się. Nikt dokładnie nie wie, o co

chodzi. W końcu dowiadujemy się, że musimy wszyscy wymaszerować. Dokąd, nie wiadomo, ale każdy rozumie i wie. Rano po paru godz. rozpaczy pożegnań wszyscy ustawiamy się razem. Atmosfera dławiąca. Ludzie, którzy wiedzą, że idą na śmierć. Policja żydowska podenerwowana usiłuje nas ustawiać. Zaczynają się rabunki składów. Zdobywam paczkę miodu i trochę marmolady. [*skreślone: mam trochę chleba. Ostatnio zacząłem handlować chlebem. Ale wtenczas gdy ja się wziełem do tego, na rynku była tendencja zniżkowa. Parę chlebów kupionych sam musiałem zużyć, bo nie mogłem już nawet dostać swojej ceny. Przez to miałem jeszcze trochę chleba*]. Dowiadujemy się dokładnie. Na mieście są obwieszczenia, że 7 września zdaje się cała ludność pozostała w dzielnicy ma się znaleźć w obrębie ograniczonym paroma ulicami. Straszna była ta pielgrzymka po ulicach wyglądających jak pobojowiska. Szmaty, meble połamane, pierzyny, szkło potłuczone zalegały ulice. Szyby porozbijane i wszystkie sklepy. A piękne słońce wrześniowe tylko lśniło w rozbitych kawałkach szkła i rozjaśniało straszną ulicę, po której ciągli się skazańcy. Każdy warsztat zajął parę ulic. I zmęczeni ludzie, grubo ubrani, z ciężkimi tłumokami, z którymi człowiek się nie rozstawał, zalegli ulicę i domy przy niej gęsto człowiek przy człowieku. Słońce świeciło pięknie i jasno. Piękny jesienny dzień. Ale do nas to nie docierało. Straszliwy głód męczy ludzi. Gdzieś ktoś znalazł skrzynkę pomidorów. Została w mig rozłapana. Wieczorem śpimy gdzieś w sieni przy schodach. Człowiek prawie przy człowieku. Słyszę w nocy, jak się obok mnie załatwiają. Ale energii nie mam zwrócić uwagi. W nocy matka znowu dostaje ataku. Ja nic nie mogę poradzić. Matka zwija się z bólu, palce drą podłogę w śmierdzącej sieni. Ludzie obcy krzyczą: cisza. Ja siedzę przy matce, trzymam ją za rękę i wpatruję się w ciemnosci w ukochane rysy. Straszna maska bólu z zagryzionymi do krwi wargami doprowadza mnie do szału. Wbijam sobie palce we włosy, tak że czuję ból i przeklinam gorąco Boga, jeżeli jest i to wszystko widzi. Następnego dnia bóle matki nie ustają. Jestem prawie nieprzytomny z powodu bezradności, nawet ludzi nie widzę dokoła. Pamiętam z tego dnia tylko deszcz na dworzu. Jesienny dzień i siebie siedzącego przy matce. Jeszcze teraz pisząc to, odczuwam ciężar na sercu. I nie dziwię się, że mam już siwe pojedyncze włosy. W nocy zasnęliśmy lekkim przerywanym snem pełnym koszmarów. Nagle czuję ruch obok siebie. Ludzie gdzieś idą. Wstaję zobaczyć. Za domem stoją ukraińcy, którzy nas otaczają. Niedaleko nich pod jakimś parkanem leży coś białego, jakiś wózek czy coś innego i para ludzi skrada się do niego. Rozgrywa się straszna walka o znaleziony chleb we wózku. Walka odbywa się w milczeniu. Jeden drugiemu wyrywa i coraz więcej ludzi przybywa. Nikt się nie zastanawia, skąd to tu. Do dzisiejszego dnia tylko domyślam się, że był podrzucony. Nagle głośny terkot z k.m. Ludzie przy mnie wydają jęki i padają. Wolno wycofujemy się. Ogień ustał. I wtenczas wszyscy pozostali przy życiu rzucają się znowu naprzód. Nikt się nie zawahał. Znowu ogień. Znowu paru zabitych i szczęśliwy z paroma okruchami za koszulą i ze złamaną ćwiartką chleba w ręku wracam do matki.

Następnego dnia wszyscy ustawiamy się. Jesteśmy pewni, że wszystko pójdzie na dworzec gdański. Okazuje się, że 3 tys. z naszej szopy może zostać. Kierownictwo szopu wydaje legitymacje niby najlepszym robotnikom, a właściwie znajomym

i krewnym. Ci wrócą, a reszta zostanie i będzie czekać na transport. Ja z matką już straciliśmy nadzieję. Cudem udało nam się dotychczas utrzymać. Widzę, jak kobiety wszystko wyrzucają z plecaków i pakują w nie dzieci. Na kontroli dzieci zabierają matkom. Ustawiamy się prawie na początku 10-tysięcznego pochodu. Legitymacji nie mamy żadnych. Jesteśmy już niedaleko kontroli, gdy dowiadujemy się, że tylko na razie starych i dzieci zabierają. Otucha wstępuje i szepczę matce, że jak się uratujemy, to obydwoje, a jej samej nie opuszczę. Obok nas gdzieś z plecaków płaczą zgniecione i zapakowane dzieci bez powierza, ale przed kontrolą uspokajają się. Jeszcze 4, jeszcze 3, jeszcze 2 piątki. Przed nami wyciągają jakiegoś niedołężnego starca z żoną, kurczowo się razem trzymających. Nie mam pojęcia, jak oni się dotychczas uchowali. Stajemy przed wysokim gestapowcem. Chwilę przesuwa oczyma z twarzy na twarz i skinięciem pejcza, ułaskawieni. Dalej stop. Kieruje nas do dużej grupy ludzi. Odliczają 3000 i stop. Reszta z legitymacjami czy bez – stracona. Trzymam matkę za rękę i maszerujemy dalej. Obok płacze boleśnie jakieś dziecko we wózku. Matka jeszcze nie wie, dokąd idziemy i boi się go wyjąć. Ale dziecko płacze coraz głośniej. I matka zdecydowanym ruchem zrzuca wózek i wyciąga może 7-letniego chłopczyka. Wlecze go matka po ziemi, bo chłopak ma kończyny zdrętwiałe 5 godz. skrępowaniem. Przed szopem czekamy nie wiadomo na co. Osieroceni cicho opłakują. Dowiadujemy się, że trzeba uprzątnąć trupy zamordowanych w mieszkaniach. Znowu wydają legitymacje i ja ich znowu nie dostaję. Potem wszyscy wchodzą do domów. Dla nas później będą legitymacje. Tymczasem jest nas 150 i zostajemy na placu przed szopem. Wieczorem nas zawracają do osobnego mieszkania. Jeden leży na drugim. Podobno bez legitymacji nie można być w domu. Zwracam się do Szymona Kaca, kierownika szopu. Matka dostaje znowu boleści. Drżącym głosem proszę go o zwolnienie na jutro, sam się stawię. Widocznie wyczuł, co się we mnie działo wewnątrz, bo pozwolił. Matce przeszło. Następnego dnia na wieczór dopiero wszystkich wyprowadzają na plac i ogłaszają, że kto nie ma legi[tymacji], niech się zgłosi na plac. W ten sposób wszyscy pozostali przy życiu będą zalegalizowani. Wraz z innymi dołączamy się na plac. Bez wszystkiego. Zaraz przecież wracamy. Na placu nagle otacza nas eskorta i gdy Kac zamierza wyciągać swoich znajomych, wszyscy zrozumieli: Jesteśmy po tylu przejściach ostatniego dnia akcji zgubieni. Wraz ze wszystkimi rzucam się w jego stronę i bity pałką po głowie przez policjanta krzyczę jego nazwisko. Spojrzał, chwilę się zastanawiał i mnie wyciągnął. Ja matkę szarpnąłem i tak z nią wydostałem się z eskorty. Zostało nas 12, reszta poszła. Jeszcze jeden oderwał się od grupy i zaczął w naszą stronę lecieć. Strzał SS mana i figurka padła. Wróciłem do domu. Byłem zalegalizowany. Ale nie umiałem się z tego cieszyć. Matka znowu dostała ataku. 24 godziny siedziałem przy niej. Tych godzin mąk nie potrafię opisać. Nastały znowu ciężkie dni. Już było po wysiedleniu, ale głód był może i straszniejszy od tego. Sprzedawałem ze siebie już rzeczy, tzn. własną koszulę, buty, palto – prawie już nic nie miałem i nie było co jeść. Przy murach getta stali już policjanci polscy i dzięki temu zaczęło wszystko tanieć i ukazało się jedzenie na rynku, tylko że ja nie miałem za co kupić. Zacząłem marzyć o jakiejś truciźnie.

Już tak męczyć się dłużej nie chciałem. W dodatku coraz częściej powtarzające się ataki matki. Spać nie mogłem w nocy i myślałem, co będzie później. Niemcy pod Stalingradem, wojna się nie skończy, a tak wegetować mogę najwyżej miesiąc. Nawet i miesiąca nie wiedziałem, jak przeżyć. W dodatku zima nadchodzi. Październik, coraz chłodniej. I wówczas zacząłem nastawiać się tak psychicznie, że wiedziałem, że wojny nie przeżyję. Wszystko jedno jak zginąć, więc lepiej jest od kuli aniżeli z głodu. I wówczas zacząłem swoje życie jako J.[7] Zaryzykowałem życie. Przeszedłem na drugą stronę. Z narażeniem życia podawałem towar do getta koledze, który zainwestował we mnie pieniądze. Od niego brałem również towar. On zarabiał i ja, a grunt że mogłem matkę żywić. Co tydzień przechodziłem przez mur na obrachunek i jaki byłem szczęśliwy, gdy widziałem matkę lepiej czującą się. Uspokajałem ją, że pracuję bez niebezpieczeństwa. Udawała, że mi wierzy i widziałem, jak się bała o mnie. Trzy razy byłem ostrzeliwany przy murze. Żandarmi, którzy potem zmienili policjantów polskich, stali co 30–40 m. Trzeba było wykorzystać ich nieuwagę. A jednak byłem szczęśliwy. Bać się wcale nie obawiałem. Nie bałem się wcale śmierci. Po prostu nastawiłem się psychicznie, że muszę zginąć. To zupełnie jasne jest, że nie przetrwam tej wojny. Niemcy byli pod Stalingradem i co do bliskiego końca wojny nie było żadnych nadzieji. W takich warunkach bez papierów, narażając się ciągle na śmierć, wiedziałem, że muszę wpaść. Nie dziś to jutro, ale niemożliwe jest takie trzymanie się na dłuższą metę. Więc za każdym razem kiedy było niebezpieczeństwo, przypływała myśl, że to już chyba koniec zbliża się, ale nic się nie bałem i wiedziałem, że to naturalne. Tyle ludzi wielkich, potrzebnych ludzi, którzy mogliby dużo dobrego dla świata i ludzkości zrobić, zginęło, więc gdy ja zginę, dziury w niebie nie będzie. Właściwie to już tylko też cud, że do tej pory jeszcze żyję.

Byłem parę razy koło muru legitymowany. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Przekupiłem policjanta. Przy robocie pod murem, gdzie ciagle patrole przechodziły, śmierć czyhała na każdym kroku. Niestety. Co dzień były ofiary pod murem. A jednak co dzień szmukiel do getta szedł pełną parą. Policjantów granatowych zawsze dało się przekupić. Potem żandarmów już nie przekupywaliśmy. Zarobki były większe, ale większe jeszcze ryzyko. Często patrzyliśmy na nich i korzystając z zadumy lub odwrócenia, przerzucaliśmy paczki. Zarabiałem dobrze. Niczego sobie nie odmawiałem. Żyłem jak straceniec. I oczywiście matce posyłałem najlepsze, co tylko mogłem. Tylko z kobietami nie miałem do czynienia, po pierwsze, że zbyt byłem wymęczony i wyjałowiony, dopiero zacząłem dochodzić do siebie. A po drugie, obawiałem się, że jakaś choroba, której bym się mógł nabawić, z mojej winy by skróciła mi życie, bo o leczeniu nie byłoby mowy u żydowskich lekarzy, a pracować bym nie mógł. Byłem tak szczęśliwy, że żyję i jem do syta i na razie to samo zapewniam matce. Tak jak teraz po wyjściu z lagru nie wierzę jeszcze, że to rzeczywistość, myślę, że to sen. I wówczas się trzymałem, nie dowierzając sobie.

[7] J. – Jan – odwołanie do zmiany imienia i nazwiska i przemiany w „Aryjczyka".

Dzisiaj moje szczęście jest zachmurzone brakiem matki i ojca, którego niesłusznie pokrzywdziłem, nie wspominajac go ani razu. Ojciec był w Sosnowcu od 40 r. Powodziło mu się nie lepiej od nas. Przed wysiedleniem straciliśmy kontakt z nim. Podczas wysiedlenia nie myślało się dużo o ojcu. Nie wiedzieliśmy, że akcja przeciw Żydom jest przeprowadzana wszędzie. Myśleliśmy, że tylko my giniemy. Później już opłakałem i ojca i matkę.